

Krzywobłocka, Bożena

Profesor

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 16/2, 143-153

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z opowiadania dowiedziałem się dużo ciekawych historycznych spraw, o których nie wiedziałem, gdyż miałem tylko podstawowe wykształcenie. Każdorazowa rozmowa pogłębiała we mnie wiedzę o moich przodkach. Powstanie Warszawskie przerwało nasze kontakty. Zostałem wywieziony do Niemiec, a po wojnie znalazłem się w Australii. Po trzydziestoletniej nieobecności przyjechałem do kraju, aby odwiedzić krewnych i znajomych. Z bólem dowiedziałem się, że pan Prof. Skrzypek zmarł na kilka tygodni przedtem, zanim znalazłem Jegó adres. Strata tak drogiego człowieka, któremu wiele zawdzięczam, pozostanie przez resztę życia głęboko w mojej pamięci.

Alej Bajraszewski

PROFESOR

Bardzo ciężko jest w ogóle wspominać bliskich ludzi, którzy odeszli. Ciężar ten zwielokrotnia się zwłaszcza wtedy, gdy mówimy o tych, którzy byli mistrzami naszej młodości wczesnej i dojrzewiania intelektualnego. Profesor Józef Skrzypek okazał się dla mnie tym człowiekiem, który w efekcie zadecydował o zmianie mego nastawienia zawodowego. Przed spotkaniem z nim chciałam być dziennikarką. Z tym przekonaniem podjęłam studia na ówczesnym wydziale dziennikarskim Akademii Nauk Politycznych. Pracowałam, podobnie jak wielu moich kolegów, zawodowo, i ogromna część naszych zajęć na uczelni odbywała się dopiero po godzinie 16. Akademia Nauk Politycznych, której częścią był Wydział Dziennikarski (dawna Wyższa Szkoła Dziennikarska), była przeznaczona do kształcenia przede wszystkim ludzi pracujących. Osobliwością tej niezwyklej szkoły, jaką była Akademia Nauk Politycznych, było to, że w latach 47—49, a nawet w latach pięćdziesiątych, można było spotkać profesorów, którzy w owym czasie byli proudującymi przedstawicielami nauki marksistowskiej w Polsce, jak również wybitnych przedstawicieli nauk społeczno-politycznych, związanych jednak z nurtem burżuazyjnym. Kiedy w roku 1947 podejmowałam studia na Wydziale Dziennikarskim ANP, nie przewidywałam, że kiedykolwiek w życiu mogę zostać historykiem. Był to okres, w którym trudno było w Warszawie żyć i pracować. Większa część miasta nadal leżała w gruzach, komunikacja kursowała bardzo nieregularnie. Zajęcia odbywały się zarówno na ulicy Rozbrat na Powiślu, jak i na Ochocie, tzn. w dawnym gmachu Akademii Nauk Politycznych. O ile jednak gmach przy ulicy Rozbrat był odremontowany, o tyle zajęcia, które odbywały się przy ul. Wawelskiej, miały jako tło dosyć zrujnowany gmach. Dziś, kiedy myślę o tych latach, zastanawiam się nad tym, jak wiele mieliśmy sił witalnych, które pomagały nam zarówno pracować na pełnych obrotach

w naszych zakładach pracy, jak też przyjeżdżać po południu na zajęcia w Akademii, które odbywały się od godziny wpół do czwartej lub czwartej do późnych godzin wieczornych. Zebrania organizacji młodzieżowych, kół naukowych oraz zebrania partyjne z reguły odbywały się późnym wieczorem i trwały do późnych godzin nocnych. Niekiedy zaś odbywały się przez dosłownie parę nocy.

Bardzo interesujący był zestaw studentów ówczesnej Akademii Nauk Politycznych. Studiowali tam ludzie, którzy kontynuowali studia rozpoczęte jeszcze przed wojną. Przyjeżdżali studiować również i ci, którzy uczyli się w warunkach konspiracyjnych lub na rozmaitego rodzaju kursach przyspieszonych, tzw. kursach przygotowawczych czy latach zerowych i tak uzyskiwali prawo studiowania na wyższej uczelni. Ponadto, i tych chyba było najmniej, byli tacy, jak ja, którzy w warunkach konspiracyjnej szkoły i kompletów uczyli się w latach okupacji po to, by po wojnie robić normalne matury w szkołach państwowych i jeszcze prywatnych szkołach średnich. Rozpiętość wieku studentów tej niezwykłej uczelni była bardzo szeroka, poczynając od nastolatków, a kończąc na ludziach, którzy dawno powinni byli te studia ukończyć. Nierzadko bowiem studentami byli ludzie pięćdziesięcio-, a nawet sześćdziesięcioletni. Równie bogaty był zestaw środowiskowy, szczególnie na Wydziale Dziennikarskim i na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym. Były tam panienki z bardzo zamożnych domów, często córki posiadaczy wielkich sklepów czy małych fabryczek, którym studia na tych wydziałach miały umożliwić wejście w tzw. wielki świat. Zdarzało się, że te ładne i bardzo eleganckie panieneczki wychodziły następnie za mąż za pracowników zachodnich ambasad i wyjeżdżały ze swoimi mężami do ich rodzinnych krajów. Studiowało również bardzo wielu działaczy politycznych, zarówno stronnictw i partii robotniczych, jak i też całego wachlarza organizacji młodzieżowych; niezależnie zaś od działaczy organizacji młodzieżowych działających wówczas legalnie wśród studentów tej uczelni byli także i ludzie, o których czytaliśmy w wiele miesięcy czy parę lat potem w gazetach, sprawozdaniach z procesów politycznych jako o kierowniczych często działaczach podziemia politycznego. Ponadto studentami uczelni byli ludzie w średnim wieku, pracownicy różnego typu instytucji państwowych, ministerstw, pracownicy aparatu organizacji społecznych oraz spółdzielczości, którym studia na tego typu uczelni potrzebne były po to, by podnosić na wyższy poziom zarówno swoją pracę zawodową, jak też miały być wstępem do bezustannego podnoszenia własnych kwalifikacji intelektualnych.

Przedziwna to była uczelnia, równie ciekawie przedstawiał się zestaw profesorów, wśród których nie brakło najrozmaitszych wybitnych indywidualności. Zbyt długo trzeba by pisać o wszystkich tych ludziach, ale warto może przypomnieć parę nazwisk. Otóż w chwili, gdy rozpoczęłam studia dziennikarskie, zmarł dyrektor Wyższej Szkoły Dziennikar-

skiej, a potem Dziekan Wydziału Dziennikarskiego ANP, znakomity publicysta, działacz ateistyczny i działacz Stronnictwa Demokratycznego Jerzy Wasowski. Pod urokiem tego człowieka była ogromna większość studentów Wydziału Dziennikarskiego i wielokrotnie zdarzało mi się słyszeć opowiadania o wykładach i indywidualnych kontaktach redaktora Wasowskiego ze swoimi młodszymi kolegami. Na wykłady z teorii i encyklopedii prawa prokuratora najwyższego trybunału narodowego i profesora naszej uczelni Jerzego Sawickiego przychodziły całe tłumy. Związane to było nie tylko z treścią wykładów i znakomitą tokiem narracji, jaką prowadził Sawicki, często zresztą zwracając się bezpośrednio do swoich słuchaczy, dyskutując z nimi w czasie wykładów, ale przede wszystkim z tymi wszystkimi przykładami, jakie dawał, w związku ze swoją praktyką zawodową dotyczącą sądenia zbrodniarzy wojennych, zarówno na arenie międzynarodowej, jak Norymberga, jak też u nas w kraju, gdzie odbywał się cały długi ciąg procesów zbrodniarzy hitlerowskich. Inną znakomitością był znany ekonomista profesor Aleksy Wakar, który z ówczesnym swoim asystentem, później profesorem, dziś już nieżyjącym Dymitrem Sokołowem, gromadzili na swych wykładach tłumy studentów, aczkolwiek zupełnie z innego powodu. Profesor Wakar był człowiekiem niesłychanie wymagającym i liczba „oblanych” egzaminów była dość duża. Niezależnie jednak od lęku przed egzaminem u wymagającego profesora istniała również chęć pochłonięcia jak najwięcej wiadomości z ekonomii politycznej, która dla bardzo wielu słuchaczy ówczesnej ANP stanowić musiała przedmiot wnikliwych studiów z racji ich zajęć zawodowych. Działali tam również znakomici prawnicy, przypomnę choćby nazwisko profesora Juliana Makowskiego, który miał zajęcia z przyszłymi dyplomatami. Chciałabym również przypomnieć, że naszym wykładowcą geografii politycznej i gospodarczej był już dziś nieżyjący profesor K. Srokowski i Paweł Ordyński, wreszcie wśród wykładowców prawa administracyjnego zmarły niedawno profesor Jerzy Starościak. Obok tych wszystkich indywidualności należy pamiętać o tym, że cała ówczesna elita uczonych marksistów wykladała w Akademii Nauk Politycznych. Lista tych specjalistów mogłaby być bardzo długa.

Oczywiście wśród masy bardzo wybitnych profesorów i asystentów zdarzały się jednostki nieodpowiedzialne. Jedynym przedmiotem historycznym na pierwszym roku studiów był wykład z historii gospodarczej, prowadzony w sposób nieodpowiedni i składający się z dosyć głupawych, często niecenzuralnych anegdot, opowiadanych przez wykładowcę. Egzamin z tego przedmiotu nie należał do najprzyjemniejszych, ponieważ wykładowca pytał o czwartorzędne lub pięciorzędne szczegóły, często myląc się sam, jeśli chodziło o daty dosyć ważnych wydarzeń historycznych. Wykład i egzamin nie mogły wyrzucić ani na mnie, ani na moich kolegach dodatniego wrażenia. Poza tym człowiekiem, którego nazwiska nie chcę tu wymieniać, gdyż nadal uprawia zawód nauczyciela akade-

mickiego, na innych latach i innych wydziałach prowadzili wykłady z historii tacy historycy, jak profesorowie Stanisław Arnold, Juliusz Bardach czy Henryk Jabłoński. Trudno więc było się dziwić mnie, jak też i innym studentom, że na proseminarium z historii na drugim roku, które było obowiązkowe, zjawiliśmy się z dość dużym opóźnieniem. Na nasze usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że pierwszy rok studiów przebiegał pod znakiem kursowania między Powiślem a Ochotą, często z powodów komunikacyjnych spóźnialiśmy się na zajęcia; często zaś z różnych obiektywnych powodów — jak wyjazdy zagraniczne lub inne odpowiedzialne prace o charakterze państwowym — nie dopisywali nasi wykładowcy.

Proseminarium prowadził jednak profesor Józef Skrzypek; nie wiedzieliśmy, że jest to człowiek bardzo sumienny i punktualny, toteż kiedy po paru zajęciach pojawiliśmy się, pewni bezkarności, wykładowca powiedział nam parę nieprzyjemnych słów.

Ponieważ uznaliśmy, że cała wina jest po naszej stronie, nie podejmowaliśmy prób obrony czy polemiki z wykładowcą, ale po prostu zaczęliśmy przychodzić na zajęcia punktualnie i systematycznie. Tak na jesieni 1948 r. poznałam Profesora. Chcąc zrehabilitować się w jego oczach cała grupa spóźnialskich poczęła przygotowywać referaty na tematy zadane im przez prowadzącego zajęcia. Nie mieliśmy wówczas żadnych wiadomości o przygotowywaniu tego rodzaju referatów, a także np. recenzji z książek, które zalecał nam profesor, często więc dochodziło do dosyć ostrej wymiany zdań na zajęciach, zwłaszcza że profesor był bardzo wymagający, a wielu spośród moich kolegów, pełniących często poważne funkcje w prasie, radiu, czy ministerstwach nie lubiło podlegać krytyce. Krytyka dotyczyła ich boleśnie z dwóch powodów — po pierwsze obnażała nasze słabości intelektualne, nasze rzeczywiste braki w zakresie czytania i precyzyjnego posługiwania się aparatem pojęciowym, a choćby prostym zapisem bibliograficznym, który dla większości moich kolegów był wiedzą tajemną. Po drugie zaś, nie posiadaliśmy jeszcze wtedy umiejętności krytycznego ustosunkowania się do przeczytanych książek czy artykułów naukowych, a przede wszystkim nie potrafiliśmy w sposób jasny i rzeczowy formułować uwag krytycznych w odniesieniu do autorów bądź problemów, które przedstawialiśmy w referatach. Seminarium profesora było dobrą szkołą wprowadzającą nas w dziedzinę, o której mieliśmy jak dotąd pojęcie dosyć słabe i chociaż wielu spośród moich kolegów buntowało się przeciwko tej — ich zdaniem — nadmiernej drobniactwu profesorskiej czy też złośliwym uwagom prowadzącego, kiedy okazywało się, że wyrokuje się z dużą pewnością siebie bez dostatecznej znajomości materiału lub nie potrafimy użyć minimalnej posiadanej wiedzy w należyty sposób. Jednak większość z nas przyznawała, że w toku zajęć bardzo wiele korzystamy oraz że to, czego się nauczymy,

może nam się przydać, jeśli nie w działalności naukowej, to np. w działalności publicystycznej bądź społeczno-politycznej.

Profesor nie cierpiał ludzi, którzy byli nie douczeni i w sposób manifestacyjny afiszowali się ze swoją niewiedzą. Ponadto dochodziło do bardzo ostrych scysji między młodymi ludźmi, którzy nie nauczyli się jeszcze zasad marksizmu, a po paru wykładach z teorii marksizmu profesora Schaffa usiłovali w sposób schematyczny i naiwny dopasowywać wszystkie fakty i oceny do nie dość gruntownie opanowanych założeń teoretycznych. Dyskusje te jednak przekonały nawet tych, którzy twierdzili, że historia to okropne nudziarstwo, że w dobie dokonującej się rewolucji w Polsce nie szkoda czasu na takie bzdury, jak to się wówczas mówiło. Dla nas wszystkich był to okres sumiennego i dość szerokiego czytania lektur, zwłaszcza na temat walk narodowowyzwoleńczych wieku XIX i ruchu robotniczego w Polsce. Mimo że tradycje walki o wolność i socjalizm są obecnie powszechnie znane, w pierwszych latach po wojnie wykorzystywano rocznice, aby zbliżyć owe sprawy masowemu odbiorcy. Powszechną formą popularyzacji były akademie. I choć nadal kursuje dowcip: wykształcenie? — „skończyłem akademię ku czci”, jako historyk nie sądzę, by rzecz była warta śmiechu. Środki masowego przekazu nie były tak rozpowszechnione jak dziś, ciągle brakowało książek i publikacji. Natomiast mówcami na akademiach w pierwszych latach powojennych byli nie tylko uczestnicy, ale również główni aktorzy wydarzeń. Dokonano ponadto w tych latach imponującej pracy ideologicznej, przypominając wielkie tradycje demokracji polskiej i udział Polaków w działaniach postępowych w Europie i w świecie. Często w świadomości historycznej narodu te fakty i te sylwetki ludzkie po prostu nie istniały. Zdarzały się zresztą przemówienia dość kontrowersyjne. Mieliśmy więc doskonałe przykłady dotyczące względności ocen historycznych, o których tak często mówiliśmy na naszych seminariach z Profesorem. Mieliśmy własne doświadczenia, wynikające z udziału w walce zbrojnej, pobytu w więzieniach czy obozach koncentracyjnych. Ponadto w naszej świadomości, podobnie jak w świadomości wszystkich obywateli naszego narodu, żyły wielkie tragedie, których oceny wahały się między hagiografią a krańcowymi elementami potępienia, jak sprawa kampanii wrześniowej 1939 r. czy wielka tragedia powstania warszawskiego, które przecież były ciągle żywe, ciągle dyskutowane.

Być może, że na rzeczową ocenę tych wydarzeń było za wcześnie, ale sprawa stosunku do nich była rzeczą niesłychanie istotną dla współczesności i dla perspektyw budowania przyszłości w naszym kraju. Żyliśmy bowiem w czasach, ocenianych jako przełomowe. Uczestnicząc w tych wydarzeniach nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę z ich wagi nie tylko dla teraźniejszości, ale dla przyszłości Narodu. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to, co się dzieje, będzie miało aż tak wielkie znaczenie nie tylko dla naszego kraju, ale dla przyszłości świata. Zjednoczenie ruchu robotnicze-

go i młodzieżowego, polemiki wokół sprawy PSL i SL, wielkie spory wokół spółdzielczości i ruchu zawodowego przeżywalimy przecież na bieżąco czy nawet braliśmy w nich bezpośredni udział. „Akademie”, otoczone taką pogardą, były często okazją do pierwszych własnych refleksji; w ślad za nimi przychodziły autentyczne tęsknoty do szerszego poznania tła wydarzeń dziejowych, przypominanych rocznicowymi uroczystościami. Człowiek odczuwał niedosyt; chciał wiedzieć więcej i lepiej. •

Nasza Akademia była niezwykle uczelnią także dlatego, że wykładowcy nie zamykali się niczym żółwie w skorupie, nie uciekali od współczesności i socjalizmu, co w znacznym stopniu robiła tradycyjna kadra uniwersytecka. Wielu ludziom wydawało się wówczas, że zbliża się trzecia wojna światowa i że nie ma sensu oficjalnie angażować się po stronie z góry przegranej, czyli lewicy. Tymczasem mówiono studentom, że współczesność i nauka są przeciwstawne lub wyrażano sądy *ex cathedra*, z całą powagą, o „apolityczności nauki”.

Na ANP natomiast starano się odpowiadać na studenckie pytania dotyczące współczesności i najbardziej drażliwych jej problemów. Mało tego — zachęcano do własnych przemyśleń i poszukiwań teoretycznych. Umiejętność odsyłania do odpowiednich lektur odgrywała tu rolę zasadniczą, podobnie jak dyskusje poświęcone obronie własnego stanowiska lub polemiki ze stanowiskiem kolegi, a nawet profesora. To była dobra szkoła politycznego myślenia, a ponadto uczelnia, która dawała absolwentom szerokie horyzonty i pozwalała w przyszłości korzystać z tego niezwyklej daru, jakim jest przekazywany przez dobrego nauczyciela swoim uczniom nawyk permanentnych studiów, tzn. uświadomienia sobie tego, że nigdy nie można przestać myśleć, czytać, pracować nad sobą. Rezultatem tych studiów i tego typu postawy nauczycieli akademickich było to, że wielu absolwentów uczelni zostało w przyszłości co najmniej wykładowcami nauk humanistycznych i społecznych, wybitnymi publicystami i działaczami politycznymi o szerokich horyzontach myślowych. Ponadto na uczelni tej panowała iście demokratyczna równość, tzn. na posiedzeniach naukowych lub na zebraniach partyjnych obowiązywało to, co obecnie nazywa się „zasadą okrągłego stołu”: niezależnie od pełnionej funkcji i wieku można było zabrać głos na każdy temat i próbować polemiki z uznanymi autorytetami naukowymi. Kiedy myślę o tamtych czasach, a szczególnie o pierwszych latach powojennych, ogarnia mnie wzruszenie, ponieważ nigdy potem nie zdarzyło mi się spotkać z tego typu hierarchią w nauce — rzeczywistą hierarchią intelektualną, a nie hierarchią narzuconą wyłącznie szacunkiem i skrępowaniem w dyskusji z polemistą wyżej usytuowanym hierarchicznie lub intelektualnie.

Rola Profesora Skrzyпка była zupełnie szczególna. Po pierwsze, Zakład Historii w Akademii miał własną wspaniałą zaopatrzoną bibliotekę. Dwa pokoje wypełnione księgozbiorem, gromadzonym z niezwykle starannością przez samego doktora Skrzyпка, zawierały mnóstwo niezwykle

rzadkich wydawnictw i monografii historycznych. Wynikało to zresztą z wielkich zamiłowań samego Profesora, który pełnił w tym czasie funkcje jednego z dyrektorów Biblioteki Narodowej, następnie dyrektora Departamentu Bibliotek w ówczesnym Ministerstwie Oświaty, ponadto był jednym z niewielu ludzi w Polsce, nie tylko zorientowanych w zawartości różnych rzadkich książek z zakresu historii Polski czy historii powszechnej, ale także wiedzących, gdzie jakąś rzadką książkę czy druk polityczny można odnaleźć.

Na wiele lat pozostał Profesor Skrzypek nie tylko dla mnie i dla kolegów historyków z mego pokolenia, ale również dla wybitnych historyków — naszych wykładowców — czymś w rodzaju dosyć szczególnej bibliografii. Gdy bowiem nie można było odnaleźć jakiego rzadkiego druku, gdy człowiek nie wiedział, gdzie szukać drugo, a często pięciorzędnych informacji o nie znanym szerszemu ogółowi fackie lub postaci — wtedy jak w dym biegło się lub dzwoniło do Profesora. Od Niego z całą pewnością taką informację można było uzyskać. Mało tego — gdy profesorowi mówiło się, że nie ma jakiejś książki w księgozbiorach publicznych i wymieniało się biblioteki, w których przepatrzyło się katalogi, Profesor zwykle mówił: „moje dziecko, niech oni poszukają” i tu wymieniał pokój bądź pomieszczenie któregoś z kustoszy bibliotecznych („tam na pewno widziałem u niego w szafie tę książkę, o którą pani chodzi”). A mogło to dotyczyć, jak mówię, różnych rzadkich i niewielkich książek, wydanych w XIX czy XX w., a także zupełnie zapomnianych pamiętników, dotyczących całej historii Polski.

Pamiętnikarstwo było bowiem prawdziwą pasją profesora i wiele godzin spędzaliśmy z Nim, opowiadając sobie o odnalezionych rzadkich pamiętnikach, często publikowanych w mało znanych dziś czasopismach lub gazetach, albo o rękopisach ostatnio odszukanym w którejś z bibliotek polskich. Profesor nosił się bowiem z zamiarem uzupełnienia tak bardzo przydatnej historykom bibliografii pamiętników Maliszewskiego. Liczył na to, że doprowadzi to dzieło do końca i że tę wielką pracę Jego życia wyda się po to, by podobnie jak książka Maliszewskiego mogła służyć wielu pokoleniom historyków polskich.

Podziwiałam pasję bibliograficzną Profesora, ponieważ tego typu działalność, wymagająca niesłychanej sumienności, staranności oraz znajomości zapisu bibliograficznego, z jego całą dosyć szczególną filozofią (tak to nazywaliśmy w żartach), należy do najbardziej trudnych i żmudnych prac w zawodzie humanisty. Do innych pasji Profesora zaliczam sprawy anegdot historycznych, oczywiście tylko tych, których istnienia przeciętny historyk w ogóle nie podejrzewa. Zapisy ich istnieją w głęboko schowanych bibliotecznych szafach, rękopisach albo w ludzkiej pamięci. Ludzie nie zawsze i nie ze wszystkimi chcą się tym bogactwem dzielić. Ileż to razy opowiadaliśmy sobie takie zdobyte, zasłyszane lub wypisane z rękopisów nie ograne, nie opowiadane anegdoty; często zre-

szną te anegdoty z różnych powodów nie bardzo nadawały się do druku. Natomiast dla rasowego historyka, dla którego wszystkie elementy życia są ważne i który zdaje sobie sprawę, że często więcej o człowieku, czy o wydarzeniu mówi anegdotyczny zapis niż skrupulatnie przeprowadzona analiza wielu źródeł, były one dla nas wielkim źródłem radości i satysfakcji, że udało się odszukać coś jeszcze, coś, czego inni koledzy historycy nie znają.

Były to rozmowy bardzo interesujące, czasami uczestniczyli w nich ludzie, którzy już w tej chwili nie żyją, jak np. profesor Stanisław Płoski, jeden z najznakomitszych znawców drugiej wojny światowej w Polsce. Kiedyś przeprowadziliśmy całą serię takich rozmów z nieżyjącym już dziś profesorem Emilem Kipą; spotykaliśmy się wtedy na terenie Wilanowa, gdzie mieścił się oddział Archiwum Głównego Akt Dawnych obejmujący tzw. zbiory zabezpieczone, czyli po prostu zbiory i kolekcje magnackie, przejęte przez państwo po drugiej wojnie światowej. Była to zresztą niezwykła satysfakcja intelektualna, kiedy sięgało się do tych oprawnych woluminów lub nieoprawnych tek i odnajdywało listy lub inne dokumenty, co do których istniała pewność, że przed nami nikt nie zdążył ich jeszcze zobaczyć. Takie chwile, podobne do tych, które przeżywają odkrywcy nieznanych łądów bądź wynalazcy, którym się wydaje, że dokonali wielkiego dzieła — zdarzają się co prawda i humanistom, ale wtedy możliwe to było dlatego, że po raz pierwszy w tej ogromnej masie zabezpieczonych archiwaliów można było rzeczywiście wyłowić najbardziej fascynujące i niezwykle dokumenty.

Szczególnie wiele satysfakcji, gdy rozpoczynałam działalność na polu historycznym, dawały mi rozmowy z Profesorem Skrzypkim, który kierował naszymi lekturami lub pytał, czy przeczytaliśmy jakąś książkę czy jeszcze jeden pamiętnik. Często przy takich okazjach wspominał swoich mistrzów z Uniwersytetu Lwowskiego bądź nieżyjących już kolegów, którzy także pracowali nad bardzo frapującymi tematami lub dokumentami.

W pierwszym okresie naszej znajomości z Profesorem Skrzypkim nie zdawałam sobie sprawy z wagi czasopisma, w którym Profesor Skrzypek najpierw zamieszczał swoje artykuły, a potem mu sekretarzował. Było to pismo „Niepodległość”, poświęcone polskim organizacjom i ludziom, którzy walczyli o niepodległość narodu. Chociaż czasopismo to było organem Instytutu Historii Najnowszej im. J. Piłsudskiego, a więc zamieszczało najwięcej materiałów z dziedziny historii legionów bądź PPS (zwłaszcza PPS Frakcji Rewolucyjnej), sporo było w tym wydawnictwie materiałów pamiętnikarskich, relacji, dokumentów, a także artykułów, dotyczących np. działań Polaków w Komunie Paryskiej, losów powstańców styczniowych (np. drukowano tam piękny artykuł o Bronisławie Szwarcu), czy materiały dotyczące działaczy ruchu ludowego. Wreszcie publikowano tam artykuły i pamiętniki działaczy związanych z począt-

kami ruchu socjalistycznego. Żaden historyk epoki najnowszej nie może się obejść w swych lekturach i działaniach bez tego pisma. Dziś żałuję, że rzadko mówiliśmy na temat pracy w redakcji, dosyć rzadko wspominaliśmy ludzi, z którymi Profesor się stykał w swojej redakcyjnej działalności. Są to bowiem straty, których nie sposób odrobić. Myślę, że jedną z takich strat jest fakt, że nikt właściwie nie opublikował wspomnienia o redakcji „Niepodległości”, o tym, ilu wybitnych historyków współczesnych debiutowało na jej łamach, jak wielką rolę pismo to odgrywało w kształtowaniu się ludzi, którzy potem mieli zajmować się zarówno historią najnowszą, jak też historią ruchu robotniczego w Polsce. Niedobrze wobec tego się stało, że nie udało się takiego wspomnienia od Profesora uzyskać. W tej chwili trzeba o tym, niestety, mówić wyłącznie ze smutkiem. Mam to sobie o tyle za złe osobiście, że kiedyś usiłowałam namówić Profesora Skrzypka do napisania takiego właśnie wspomnienia. Profesor powiedział, że powrócimy do sprawy później, lecz życie okazało się silniejsze od owej obietnicy.

Chciałabym jednak podkreślić, że tego typu pismo, jak „Niepodległość”, wyznaczyło wysoki poziom swoim następcom i że z prawdziwą przyjemnością i wzruszeniem po wielu latach do tego wydawnictwa się powraca.

• Kiedy pod koniec roku akademickiego 1948/1949 Profesor Skrzypek w imieniu Profesora Jabłońskiego zaproponował mi asystenturę przy katedrze Historii Najnowszej Akademii, poczułam się tym wyróżnieniem zaszczycona, ale równocześnie zdawałam sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie spada. Uważałam bowiem, że nie jestem wystarczająco przygotowana do pełnienia funkcji asystenckich, no i oczywiście do pracy naukowej w przyszłości. Nie przewidywałam, że w następnym roku akademickim, kiedy już jako studentka trzeciego roku pełnić będę funkcję młodszego asystenta ANP, przyjdzie mi pracować bez Profesora Skrzypka w naszym zakładzie. Nieobecność Profesora wiązała się z zaostrażającą się wówczas sytuacją polityczną również i w naszej uczelni. Sprawa „zimnej wojny” w Europie powodowała również i w naszym kraju dosyć ostre oddźwięki w postaci różnego typu zaleceń na temat czujności klasowej itd. Profesor jako sekretarz redakcji „Niepodległości”, a także znany nonkonformista, nie cofający się przed wypowiedzeniem własnego zdania nie tylko na tematy zawodowe, nie mógł być dobrze widziany przez grupę wykładowców, którzy uważali się za jedyne — nie tylko w naszym kraju — wyrocznie przestrzegania litery marksizmu we wszystkich naukach. Wiązało się to również ze sprawą zaostżenia sytuacji politycznej w kraju.

Przyszło mi stawiać pierwsze kroki asystenckie bez zyczliwości i bez pomocy Profesora Skrzypka. Nie urwały się natomiast nasze kontakty, które były nie tylko kontaktami wykładowcy i studentki, ale również i ludzi, którzy po prostu zaprzyjaźnili się ze sobą, stąd spotkania te miały

szczególnie niezwykły charakter. Te nasze kontakty, które życie czyniło rzadszymi z uwagi na brak czasu, przetrwały przez wiele lat pracy w różnych placówkach i na różnych stanowiskach nas obojga.

Nie udało mi się również namówić Profesora, aby napisał wspomnienia ze swej działalności oświatowej związanej z Towarzystwem Szkoły Ludowej w Galicji, o której tak pięknie umiał opowiadać.

Ważną bardzo sprawą, o której mówiliśmy często z Profesorem, było zagadnienie uczciwości badacza i etyki pracownika naukowego, który nie powinien kierować się w swych pracach osobistymi względami bądź sympatiami. Były to długie i często burzliwe dyskusje.

Sam Profesor nie miał niestety szczęścia, jeśli chodzi o własne publikacje naukowe. Pamiętam dosyć dramatyczną historię bloku listów działaczy socjalistycznych, galicyjskich i austriackich, poświęconych sprawie zwolnienia Lenina z więzienia, które to listy chciał wydać Profesor. Poświęcił temu tomowi wiele pracy, po czym okazało się, że dla jakichś raczej wątpliwych racji tom ten nie może się ukazać. Co gorsza, po latach okazało się, że przekazane z całym zaufaniem do archiwum cenne listy uległy zagubieniu czy zniszczeniu. Również nie ukazało się dzieło życia Profesora, nad którym pracował wiele lat i o którym mówił z wielkim entuzjazmem. Sądzę, że zawiniły tu przede wszystkim sprawy stosunków międzyludzkich, a nie rzeczywista ocena tego wielkiego dzieła.

Profesor uważał za swój żywioł gromadzenie wyspecjalizowanych zbiorów bibliotecznych. Kiedy przychodziło się do Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego można było zorientować się z półek, które stale powiększały swój stan posiadania, jak bardzo go ta sprawa pasjonowała. Ze zwykłą sobie sumiennością podjął się kierowania pracami nad wielką bibliografią tytułów prasy polskiej XIX i XX w., jak również sterowania pracami młodych pracowników nauki z tego zakresu. Bardzo chciałam pracować w Pracowni w chwili jej powstania, ponieważ interesowałam się od wielu lat historią prasy polskiej i miałam na swoim koncie szereg publikacji w tej dziedzinie.

Bieżące prace badawcze uniemożliwiły mi wzięcie udziału w wydawaniu tomów, poświęconych prasie polskiej. Jednak sprawy historii prasy, a w szczególności historii czasopism politycznych, nadal mnie interesowały, obiecywałam sobie zawsze, że wezmę udział w tych przedsięwzięciach zakładu, którymi kierował Profesor. Niestety, życie jest mocniejsze od nakładanych sobie zobowiązań.

Tu sądzą, warto jeszcze powrócić do spraw związanych z Akademią Nauk Politycznych, ponieważ grono ludzi, które dobierał spośród młodych wówczas studentów Profesor Skrzypek, sprawdziło się już w działalności i pracy zawodowej, choć nie zawsze na odcinku historycznym. Człowiekiem wówczas najbardziej dojrzałym naukowo był ówczesny doktor Janusz Durko, obecny profesor i dyrektor Muzeum Historyczne-

go miasta Warszawy, a także dyrektor Centralnego Archiwum KC PZPR. Grono asystenckie stanowili: jedyny wówczas historyk z wykształcenia Halina Świetlicka (obecnie zajmuje się sprawami teatru i pracuje w Instytucie Sztuki PAN), Wiesława Weberówna (obecnie sędzia Sądu Wojewódzkiego; zdradziła historię na rzecz prawa, które studiowała równocześnie z ANP); Stanisław Werner, obecnie poeta i tłumacz, oraz niżej podpisana. Później przyłączył się do nas pracownik Naczelnej Dyrekcji Archiwów magister Stanisław Kowalczyk, obecnie ceniony pracownik Zakładu Historii Ruchu Ludowego przy Naczelnym Komitecie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Atmosfera w Zakładzie Historii Najnowszej ANP, najpierw pod kierunkiem Profesora Skrzyпка, a potem Henryka Jabłońskiego, powodowała, że pracownicy tego Zakładu zaprzyjaźnili się i chociaż ich losy i praca zawodowa potoczyły się różnymi torami, utrzymują więzy serdecznej przyjaźni aż do dnia dzisiejszego. Wiele zasługi przypadło tu Profesorowi Skrzyпkowi, któremu zwłaszcza leżały na sercu sprawy awansu naukowego młodych współpracowników. Troszczył się o nas nawet wtedy, gdy już nie pracowaliśmy razem. Przychodził na spotkania towarzyskie i świetnie czuł się wśród młodych. Dowcipny, choć nieraz dowcip jego był podbarwiony goryczą, starał się nie sprawiać swym młodym przyjaciółom przykrości. Był w stosunku do nas ogromnie serdeczny. Interesował się naszymi sprawami osobistymi, choć nader krytycznie zapatrywał się na możliwość łączenia przez kobiety sprawy prowadzenia własnego domu i prawdziwych badań naukowych. Pokpiwał niekiedy dobrotliwie, choć wtenczas nas bardzo złościły owe „złośliwości”, że adoratorzy nie dadzą nam zakopać się w książkach i papierach. Kiedy był w dobrym humorze mawiał do którejś z nas: „Cóż to, galopanci nie dopisali, że pani, dziewczyno, marnuje się nad tym »buchem«”.

Traktował jednak poważnie nasze pasje badawcze i nigdy się z nich nie wyśmiewał. Pochwała z jego ust brzmiała najcenniejszą, bo rzadko był zadowolony z wykonanej pracy, zarówno własnej, jak i cudzej. Dlatego tak chętnie biegło się do Profesora z nową publikacją. Przykro mi, że ostatniej mej książki nie doręczyłam Mu osobiście. Wpadłam do Pałacu licząc, że go zastanę. Chciałam Go bardzo zobaczyć, ponieważ nie widzieliśmy się dość długo. Tempo życia przekreśla jednak nawet najbardziej trwałe przyjaźnie. Zostawiłam więc moją książkę z dedykacją dla Profesora w Pracowni. Liczyłam, że Profesor ją przejrzy i zadzwoni, aby się spotkać ze mną, tak jak to robiliśmy wiele razy. Nasze spotkanie już się nie odbyło. Tym razem nie dopisał Profesor. Był tylko czarny nekrolog w gazecie i przeraźliwie smutny, mimo słońca i kwiatów, letni dzień pożegnania na Powązkach.